Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 20.** Leszno, dnia 19. Listopada 1836.



Kurpie. *)

(Ł. Gołębiowski: Lud polski.)

W Mazowszu, gdzie dawniéj ziemia ciechanowska, różańska, łomżyńska, nurska i wiska, w lasach pomiędzy Bugiem, Narwią, rzeczką Uzgierską, wpadającą pod Pułtuskiem do Narwi, Biebrzą, zamieszkał od wieków lud pełen męztwa i odwagi, Kurpiami albo Kurpikami zwany. Siedziby ich w ziemi nurskiéj przechodziły i na lewy brzeg Bugu, gdzie teraz Jadów i Sulejów. Myszyniec i Ostrołęką stolicą ich niejako; środek ich siedliska przerzynała rzeczka Omulew.

Bartnictwo i łowy są ich najulubieńszém zatrudnieniem; Kurp' każdy stara się usilnie

*) Nazwisko od obuwia, kurpiami zwanego, czyli postołami, chodakami, łapciami w rozmaitych stronach, z kory lipowéj, albo skóry plecione, i sznurkami lub rzemyczkami na onuczy, którą noga obwinięta, przywiązane.

sławę przodków utrzymać: niedźwiedzie, rysie i inne dzikie zwierzęta uczy się z młodu zabijać strzałem, lub łapie je w sidła: wielu tak jest biegłych, iż w główkę ćwieczka kulą trafiają. Za panowania Zygmunta III., gdy spory pomiędzy nimi o barcie i pszczoły powstały, przepisał dla nich Niszczycki Krzysztof, Starosta ciechanowski i przasnyski, ustawy, według których przez długi czas się rządzili. W czasie wojny ze Szwedami Augusta II., Działyńska, Wojewodzina chełmińska, żona Tomasza, który w roku 1741 umarł, zebrawszy 6000 Kurpiów, dzielny kraju nieprzyjaciołom stawiała opór. W roku 1708, gdy Karól XII. z Stan. Leszczyńskim ciągnął z Torunia ku Grodnowi przeciw Moskwie, i przybył do Myszeńca, Kurpiki zatamowali drogę temu bohatérowi, i podali warunki, pod którémi przejść przez swe lasy chcieli pozwolić. Król dumny odrzucił ich przedstawienia, poszedł na przebój, nie dawał żadnemu przebaczenia, złapanych męczarniami zmuszał, aby jeden drugiego wieszał. Rozjątrzeni, poprzysięgli zemstę, i tyle zawziętością dokazali, że katów swych zniszczyli, a Karól XII. z jednym tylko drabantem do Szczuczyna za Łomżą, do przychylnego sobie Szczuki, podkancl. litew., umknąć zdołał.

Nastał rok 1733, Leszczyński królem obrany; przysięgły mu Kurpiki, i wiary dochować umiały. Zebrawszy się, niszczyli tułające się roty Sasów. Cały garnizon z Elbląga, z drugiéj strony Jenerał Biron wyruszyć przeciwko nim był zmuszony i kilka tysięcy ludzi stracili; dopiero kiedy się cofnął Steinflicht, kierujący ich działaniem, a Pułk. Rehbinder przeszedł w obcą służbę, ukorzeni zostali.

W roku 1794 składali pułk strzelców Zielińskiego, ubrany w kurtki szaraczkowe z zielonemi wypustkami i kapelusz okrągły z małemi skrzydłami; w roku 1809 pomnożyli znacznie szeregi wojsk narodowych i zaszczytne zebrali wawrzyny.

Ubiór Kurpika skromny, lecz wygodny: koszula spięta pod szyją mosiężnym guzikiem, spodnie obcisłe, białe, sukienne lub z płótna, góralskim podobne. Sukmana kafowa pod kolana, pod nią kamizelka, okrągły kapelusz z małemi skrzydłami; na nogach kurpie. Wytrwały jest Kurp' na wszelkie zmiany powietrza, niedostatek, mało dba o życie; wolny, czynsz tylko panom swym płaci. Mieszkanie jego porządne; dobra strzelba i myśliwska torba, nieodstępnym jego są towarzyszem. Tułając się po lasach za zwierzem, nuci piosnki sobie właściwe, mające za przedmiot największéj łowy. Przytaczamy jednę takową, z nowego zbioru pieśni ludu, wydawanego w poszytach przez szanownego K. Wojcickiego. *)

Pojedziemy na łów, na łów,
Towarzyszu mój!
Na łów, na łów, na łowy,
Do zielonéj dąbrowy,
Towarzyszu mój!
Aż tam biegnie zając, zając,
Towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
Niech zająca uchwycą,
Towarzyszu mój!
Pojedziemy na łów, na łów,
Towarzyszu mój!
Na łów i t. d.
Aż tam biegnie sarna, sarna,
Towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
Niechaj sarnę uchwycą,
Towarzyszu mój!
Pojedziemy na łów i t. d.
Aż tam biegnie soból, soból,
Towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
Niech sobola uchwycą,
Towarzyszu mój!
Pojedziemy na łów i t. d.
A tam biegnie panna, panna,
Towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
Niechaj pannę uchwycą,
Towarzyszu mój!
A teraz się dzielmy, dzielmy,
Towarzyszu mój!
Tobie zając i sarna,
A mnie soból i panna,
Towarzyszu mój!
A kiedy ci krzywda, krzywda,
Towarzyszu mój!
Tobie siodło, a mnie koń,
Terazże się ze mną goń,
Towarzyszu mój!
A kiedy ci krzywda, krzywda,
Towarzyszu moj!
Moja szabla, a twoj kij,
Terazże się ze mną bij,
Towarzyszu moj.
Kiedyć jeszcze krzywda, krzywda,
Towarzyszu mój!
Twoje gardło, a mój miecz,
Twoja głowa pojdzie precz,
Towarzyszu moj!

*) Pieśni ludu Białochrobratów, Mazurów i Rusi z nad Bugu. Poszyt 1—16. W Warszawie 1836.

San Marino dnia 5. Maja 1836.

Mości Panie Redaktorze!

Przedmioty, którémi dziś zajęty jestem, interessować może będą Czytelników Przyjaciela Ludu. Jeżeli ich Publiczności udzielić zechcesz, ja na tém zyskam, bo się ziomkom przypomnę.

Wysoka skała, na któréj leży miasto San Marino wśród równin Romanii; Rzeczpospolita wśród prowincyi podległych samowład-

nemu berłu Papieżów, niewzruszone od 13stu wieków, ciało polityczne wśród krajów, które przez tenże czas niezliczonym uległy zmianom; ten jest obraz, na który się w téj chwili z uszanowaniem zapatruję.

Rzeczpospolita S. Marino winna swój pierwszy zawiązek prostemu mularzowi imieniem Marino, który w szóstym wieku ery chrześciańskiéj z Istryi tu przybył, i na téj górze, w ówczas mons titanus zwanéj, na osobności osiadł. Sława jego świątobliwego życia wkrótce licznych do niego zwabiła zwolenników, którym on nadał ustawy, na prawidłach religii chrześciańskiéj ugruntowane, i w pewnym względzie do reguły zakonnéj podobne.

Nie myślę tu powtarzać, co dziejopisowie o téj Rzeczypospolitéj mówią; przedmiotem tych listów jest raczéj rozważyć stan jéj teraźniéjszy.

O trzy mile od miasta Rimini w Romanii, na wysokiéj skale, leży miasteczko San Marino, stolica Rzeczypospolitéj tegoż nazwiska. Posiadłości jéj, jak wiadomo, bardzo szczupłe, rozciągają się do czterech wiosek i kilkudziesiąt chat, tu i owdzie po dolinach rozrzuconych.

Ogólna ludność wynosi 7500 dusz, z których pięć tysięcy mieszka w mieście, reszta zaś po wsiach. Ziemia, lubo nieco skalista, bardzo jest urodzajna; pszenica i jęczmień okrywają doliny; wyżéj leżą winnice; na skałach zaś, gdzie oko ledwie dostrzedz może nieco ziemi, drzewa oliwne w szczelinach między kamieniami zapuszczają korzenie swoje. Nigdzie rola nie odpoczywa: pracowici mieszkańcy z każdego jéj kawałka korzystać umieją.

Przyłączona tu rycina wyobraża widok skały San Marino, tak jak się przedstawia oku z drogi od Rimini pod wsią Seravallo. Na szczycie góry wznosi się miasto, murami obwiedzione, do którego tylko pieszo lub na mule dostąpić można. Pod górą jest przedmieście, czyli tak nazwane Borgo, do którego dobrze utrzymana i żwirem wysypana prowadzi droga. Przyjechałem do S. Marino w dzień targowy; znalazło się wkrótce kilku ciekawych, którzy mi okazali gotowość swoją, oprowadzenia mię po mieście. Wszyscy dokładnie znali stósunki swego kraju, i szczycić się zdawali, że Sanmaryńczykami byli. Pierwszy raz w tém mieście widziałem Włochów, którzy pragnęli zostać tém, czém byli, i bynajmniéj nie żądali połączenia téj półwyspy w jedno polityczne ciało.

Główne zasady rządu Rzeczypospolitéj San Marino, zręcznie są zastósowane do jéj położenia, szczupłego obwodu i ludności.

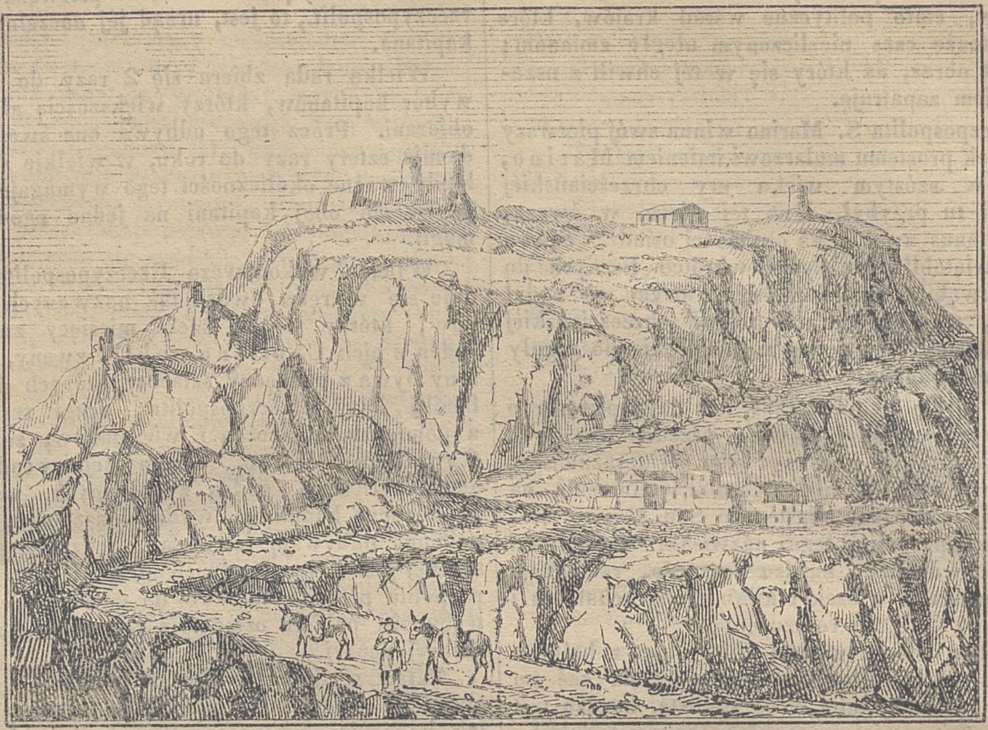
Władza prawodawcza znajduje się w ręku tak nazwanéj wielkiéj rady, któréj członkowie wybierani są z pomiędzy szlachty, mieszczan i wieśniaków. Cudzoziemiec, choć niema posiadłości, może za uchwałą W. Rady otrzymać indigenat. Skoro ma posiadłość, może być członkiem téjże rady; lecz ten tylko, co się w San Marino rodził, piastować może pierwszą godność rzeczypospolit., to jest, urząd jéj naczelnika czyli kapitana.

Wielka rada zbiera się 2 razy do roku na wybór kapitanów, którzy większością głosów są obierani. Prócz tego odbywa ona swoje posiedzenia cztery razy do roku, w wielkie święta, i kiedy ważne okoliczności tego wymagają, n. p.: gdyby się obaj kapitani na jedno zgodzić nie mogli.

Władza wykonawcza Rzeczypospolitéj znajduje się w ręku dwóch tak nazwanych kapitanów, którzy się co sześć miesięcy zmieniają. Jeden z nich Capitano nobile zwany, wybierany bywa z pomiędzy szlachty, których do 30stu familij liczy Rzeczpospolita; drugi wybierany z pomiędzy mieszczan i wieśniaków, zowie się Capitano Villico. Obaj naczelnicy codziennie audyencye dają, godzą zwaśnionych, wskazują kombinacye handlowe, wydają paszporty, i tym podobne odbywają interessa. Sędzią Rzeczypospolitéj jest zawsze cudzoziemiec, któremu Rzeczpospolita płaci 5 dukatów na miesiąc: Sekretarz trybunału pobiera ośmnaście czerwonych złotych rocznéj pensyi.

Pałac rządowy o dwóch piętrach i trzech oknach z frontu, tak oszczędnie jest urządzony, jak kamienica mieszczanina naszego w Łowiczu lub Kaliszu. Sala wielkiéj rady, a raczéj obszerny pokój, w którym ta magistratura odbywa posiedzenia swoje, przypominał mi czworoboczne refektarze w mniéjszych naszych klasztorach; ławy drewniane stoją w koło ścian; w środku jest stół, a za nim dwa krzesła, axamitem wybite, na których oba kapitani obradom przewodniczą. Na ścianach wiszą trzy tablice marmurowe, na pamiątkę poselstw odbytych szczęśliwie w usługach Rzeczypospolitéj. Obok takiéj prostoty znaleźliśmy i tu dowód, jak bardzo Włosi sztuki piękne cenią: naprzeciwko krzeseł kapitanów, wisi bardzo piękny obraz Matki Boskiéj, Ś. Marcina i Ś. Agaty, nieznajomego mistrza w rodzaju Andrea del Sarto.

Milicya Rzeczypospolitéj San Marino wynosi 800 ludzi, którzy się swoim kosztem uzbrajają i mundurują. W arsenale, w mieście, jest 200 karabinów z bagnetami, i kilkanaście tysięcy ostrych ładunków. Kampanią wyborczą tego wojska składa tak nazwana gwardya nobile, która w większych okolicznościach straż przyboczną rządu stanowi. Siłę zaś zbrojną, która w każdym momencie jest na zawołaniu rządu, stanowi dwóch zbirów czyli żandarmów; że jednak jeden z nich niedawno dla starości, łaskawy chleb otrzymał, dziś więc cały etat liniowego wojska Rzeczypospolitéj z jednego człowieka się składa. Powiadał nam Capitan nobile Rzeczypospolitéj, nazwiskiem Jan Belluci, że kiedy żandarm niezdoła przywrócić porządku, przytomność jednego z kapitanów, jest zawsze dostateczną, aby uśmierzyć rozognione umysły ludu.



Widok San Marino.

Dochody Rzeczypospolitéj zasadzają się na opłacie od soli i tabaki, i na małym bardzo podatku gruntowym. Że ta opłata istotnie jest małą; zapewnił nas nie tylko naczelnik Rzeczypospolitéj, ale i wieśniacy, którzy ją składają. Wyżywienie pomnażającéj się corok ludności w tym kraju, podlega niejakim trudnościom. Mieszkańcy San Marino utrzymują się po części kosztem skarbu toskańskiego i papieskiego, a kontrabanda z Toskanią, która ztąd o 4 mile polskie leży, stanowi ważną gałąź przemysłu narodowego.

List IIgi.

San Marino dn. 6. Maja 1836.

Wspomniałem w wczorajszym moim liście o szczupłych dochodach Rzeczypospolitéj San Marino. Stósowne onych użycie w celu uporządkowania i upiększenia tego miasta, czyni zaszczyt rządowi. Bruk wszędzie jest wyborny, a podziemne kanały i odcieki, utrzymują największe wszędzie ochędostwo. Obszerna cysterna do 200 stóp długa, 50 szeroka i 16 głęboka, w niedostatku źródeł, dostarcza wody mieszkańcom. Piękny nakoniec teatr o dwóch rzędach lóż, czyni zadosyć powszechnemu we Włoszech zamiłowaniu reprezentacyj dramatycznych.

Najcelniéjszą przecież w San Marino budowlą, jest kościół, jakiemu podobnego w całéj Romanii nie widziałem. Cały jest z kamienia, wewnątrz na trzy nawy podzielony, które kolumnami korynckiemi są podzielone; środkowa nawa ma okrągłe sklepienia w półkoła wygięte, dwie boczne mają sufit płaski, bogato przystrojony. Ołtarz marmurowy drogiemi kamieniami jest wykładany. Budowa tego gmachu kosztowała do 330000 złtp. Zebrano te fundusze z publicznych legatów, i zapisów testamentowych, a resztę, co niedostawało, skarb publiczny dodał. Po ukończeniu tego budynku, zamyśla rząd wystawić szpital publiczny, którego dotychczas miasto nie posiadało.

Wychowanie publiczne Rzeczypospolitéj San Marino zdaje mi się bardzo stósowném do utrzymania w niéj ducha publicznego. Niemasz w San Marino szkół systematycznie urządzonych, ale do każdéj klassy są odrębni nauczyciele, mniéj lub więcéj liczni, w miarę uczniów w téj lub owéj klassie znajdujących się. Systemat taki na pozór zawikłany, istotnie odpowiada duchowi i stósunkom téj małéj krainy.

Gdyby San Marino miało porządne liceum, takowe niemogłoby się utrzymać bez obcych uczniów i obcych nauczycieli. Ci zaś, prędzéj czy późniéj, dążyliby do tego, aby instytut swój na równéj stopie postawić z publicznemi szkołami w krajach toskańskich lub papieskich. Ze jednak systemat rządu wspomnionych dopiero krajów, jest przeciwny republikanizmowi w San Marino, a mniemania uczonych włoskich w ogól-

ności nie bardzo rządom sprzyjają; idzie zatém koniecznie, że nauczyciele liceum w San Marino alboby wpajali w uczniów swoich prawidła monarchiczne, jakiemi się rządzą sąsiedzi, albo dążenie do połączenia Włoch w jedno ciało polityczne, to jest: do zniszczenia niepodległości San Marino.

Zapobiegł tym niedogodnościom przyjęty w Rzeczypospolitéj systemat; tu każdy nauczyciel sam przez się działa, a że każdy szczęśliwym się czuje, że jest mieszkańcem wolnego kraju, każdy wpaja w uczniów swoich przywiązanie do istniejącego porządku rzeczy.

Takiemu to podobno wychowaniu publicznemu, przypisać należy spokojność, z jaką San Maryńczykowie się zachowali w ostatnich rewolucyach, a mianowicie w roku 1831. Wśród powszechnego rozognienia Romanii i Bolonii, żaden San Maryńczyk do téj rewolucyi nie należał, lubo ich się wielu w tym czasie w Romanii i Pesaro znajdowało.

Niechaj jednak czytelnik nie sądzi, aby wychowanie w San Marino pośledniéjszem było, jak w pogranicznych krajach. Lud tutéjszy bardzo pracowity, tém samém dowodzi, że lepiéj od innych Włochów zna prawdziwe przeznaczenie człowieka. Mieszkańcy obu płci, z któremi obcowałem, przezornie sądzą o stósunkach swoich gospodarskich, handlowych i politycznych. Kapitan nakoniec Rzeczypospolitéj, Jan Bellucci, którego bliżéj poznałem, należy niezawodnie do ludzi najlepiéj wychowanych, jakich we Włoszech widziałem. Ludzie, którzy wyższą wzięli edukacyą w San Marino, niemogą się wszyscy utrzymać w rodzinném swojém mieście. Tacy szukają urzędów świeckich lub duchownych w stanach Papieskich, Toskanii i Luce; każdy z nich przecież na starość do ulubionéj powraca ojczyzny. Edw. R...

Peregrynacya do Ziemi Śtéj.

(Dokończenie.)

Osmego Lipca nająwszy muły, gotowaliśmy się na jutrzéjszą drogę: dwie niedzieli w Jeruzalem mieszkałem, a 9go wysłuchawszy mszy ś. i obiad odprawiwszy, pożegnaliśmy się z zakonnikami: droga dosyć dobra; przyjechaliśmy do Jope: miasto to przedtem na górze siedziało, teraz wszystko rozwalone, okrom jednéj wieży, w któréj straż mieszka. Na brzegu morskim jest kilka starodawnych sklepów, dokądeśmy się schronili. Atuśmy zastali Sabadyna naszego Karamuzanu w porcie, który jest ciasny, i nie stawają w nim, chyba mniéjsze statki. Gdyśmy do karamuzanu rzeczy wnieść kazali, powstał wiatr wielki: ale ku wieczorowi wiatr ucichł, a my też poklęknąwszy, i ziemię świętą pocałowawszy, już po zachodzie słońca wsiedliśmy na nasz karamuzan, i puściliśmy się do Trypolu. Trafił nas tu nieszczęsny przypadek, który jako baczę potrzeba napisać. Kapłan jeden, Antonius niejaki, z miasta Panormu, z wyspy Sycylii (powiadano, że był plebanem w jedném mieście biskupstwa medyolańskiego) w okręcie weneckim do Trypolu przypłynął. Ten udał się zaraz wedle zwyczaju inszych pielgrzymów do zakonników Franciszkanów, kędy rano w sobotę miał mszą. A po mszy zaraz do ojca gwardyana poszedł i powiedział mu, że gdy o ś. duchu miał mszą, natchnął go Pan Bóg, aby wiarę chrześciańską porzuciwszy, na mahometowę się obrzezał. To słysząc on zakonnik, bardzo się zdumiał, i napominał go, aby Pana Boga przed oczyma swemi miał, którego sługą i kapłanem był. Ale ten zapamiętały człowiek, nim był szedł do mszy, tłómacza sobie przed klasztorem sposobił, a mszą odprawiwszy, z klasztora do Kadego poszedł. Zastał u niego kupce włoskie, potrzeby swoje odprawujące, i przez tłómacza kazał mu powiedzieć, że jest kapłanem chrześciańskim, a iż dzisiaj o duchu ś. mszą odprawując, od niego był natchniony, aby wiarę turecką przyjął. Kady pytał, jeśli trzeźwy, czy się upił, a jeśli na to dobrze się rozmyślił? Odpowiedział, żem jeszcze i nie jadł, i dobrze namyśliwszy się do tego przychodzę. Rozkazał tedy Kady, aby zawój turecki przyniesiono, który na głowę jego włożył: co gdy się działo, on zbieg niecny płakał, w sercu natenczas, co miał, sam Pan Bóg wie. Rano w niedzielę 17go Lipca z pompą i tryumfem (jako jest zwyczaj, gdy się chrześcianin turczy) przez miasto go prowadzono. Niesiono przed nim dwie chorągwie Mahometowe, zielone, na których, miasto grotu, dwa ogony końskie wisiały. Sto Jańczarów po obu stronach z półhakami, z trąbami, z bębny szło, i prowadzili go przez ulicę naszę, abyśmy na jego nieszczęśliwy tryumf patrzali. Aleśmy umyślnie okna pozamykali: dziurami widzieliśmy wszystko jego nieszczęście. Młody był człowiek, lat około 30, czarno zarosł. Jechał na koniu gniadym, na którym i siedzieć nie umiał i nie uzdę, ale łęk u siodła trzymał. Konia pod nim dwaj Jańczarowie prowadzili; czuja na nim z czerwonego adamaszku; strzałę w prawéj ręce miał, piérzem ją ku górze, a żelazem na dół obrócił. I tak po ulicach miejskich tryumfując, z nim jeździli. Na ostatek między jatkami w jednéj komorze obrzezano go, gdyż Turcy nie z takimi obrządkami, jako żydowie, tę ceremonią swoję odprawują. To obrzezanie wielką mu boleść przyniosło, tak że powiadano, jakoby ztąd miał umrzeć. Doszli jednak tego nasi, iż coś był w plebanii zbroił, za co miał być od kardynała Boromeusza karany; czego się bojąc, najprzód do Wenecyi zjechał, a potém wsiadłszy na okręt, do Syryi się puścił. Żyd tłómacz powiadał nam potém, że go w stajni Kadego widział. Bo zaraz po onéj ceremonii, drogie szaty z takowego wiernika zdejmują, potém zrzucają się mu na co Turcy (jako oto i temu

tylko 40 cekinów złożono) czego jednak połowę Jańczarom i Muzykom, którzy go prowadzą, dać powinien, do stajni go posełają, naostatek myto mu jakie postanowią. Ujrzawszy ten żyda, pytał, coby też chrześcianie o nim mówili; odpowiedział żyd, że się bardzo dziwują. A on na to: bardziéj się ja dziwuję, co się ze mną dzieje, (bo jeszcze chorzał) tylko się tem cieszę, że brata mam w Konstantynopolu, który się także poturczył; muszę do niego jechać, a tak dobre jako złe z nim cierpieć.

Na tém kończy się list drugi; w trzecim opisuje xiążę obszernie podróż swoję do Egiptu, a najprzód kraj ten, rzekę Nil, ptastwo rzeczne i zwierzęta, klima, potém miasto Cairo i ważniejsze jego osobliwości: daléj piramidy, ruiny starożytnego miasta Memfis, różne produkta kraju, zwyczaje i osobliwości, mumie i miasto Alexandryą. Na początku Października wsiadł znowu na okręt, chcąc powrócić do Włoch: opisuje okropną burzę i przesądy marynarzy, jakoby mumie, które wiózł z sobą, były tego przyczyną; musiał je więc wrzucić w morze (zob. Przyjaciela Ludu rok I. Nr. 3). Po różném nakoniec błąkaniu, dnia 6. Marca 1584 roku, szczęśliwie do Włoskiego portu zawinął, zkąd lądem odbywając podróż do Wenecyi, niedaleko Loretu od rozbójników napadnięty i nielitościwie z pieniędzy i wszystkich kosztowności obdarty został. Nie sądząc się bezpiecznym w dalszéj podróży, najmuje dwóch Włochów: pierwszego Franciszka, który 8 lat między rozbójnikami przepędził, drugiego zaś pewnego xiędza, który dwóch braci miał pomiędzy bandytami. Przez Ankonę w Kwietniu przybył do Wenecyi, a ztamtąd na Tryest, Wiedeń, powrócił do Polski w Maju roku 1584.

Wróżka.

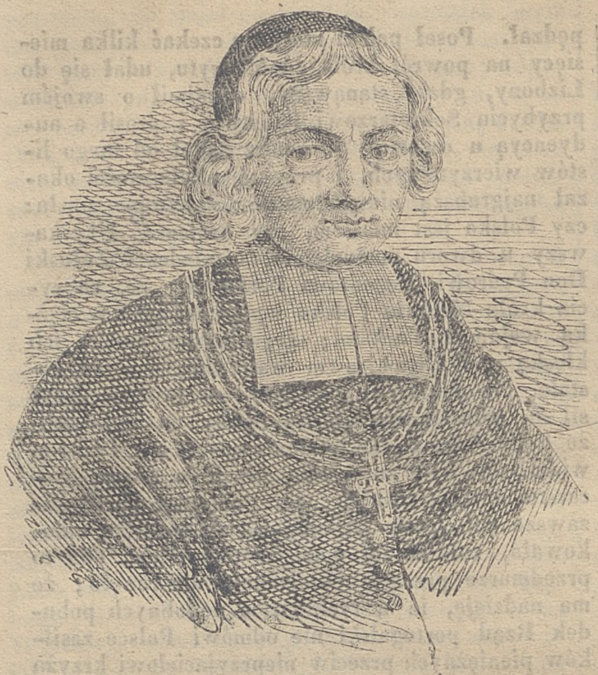
(Koniec.)

Lubo wojna z Turkami przytłumia wszelkie uczucie, jednakże dreszcz mnie przechodził ze strachu, osobliwie kiedym rzucił okiem za sitowie. Idę daléj, spoglądam na miejsce rzeźi, lecz jakże opiszę przelęknienie, kiedym uczuł, że mię jakaś silna pochwyciła ręka! Oglądam się, spostrzegam Arnauta, draba jak olbrzym. Bez wątpienia powrócił on, żeby zabrać, co pozostało jeszcze na bojowisku. Nigdym się okropniéj w mojéj nadziei nie zawiódł! Przemawiam do niego po turecku; bierz, rzekłem, mój zegarek, moje pieniądze, mój mundur; tylko nie zabijaj mię. Wszystko to moje, odpowiedział, a nadto jeszcze i głowa. To mówiąc, odwiązał mi rzemyk od kołpaka pod brodą, potém halsztuch. Bezbronny, nie mogłem ani pomyśleć o obronie; bo za najmniejszém poruszeniem byłby utopił w mém sercu swój kordelas szeroki. Gdy mi więc obnażał szyję, porwawszy go w pół, zlituj się nademną, mówiłem błagając, weźmij mię w niewolą; familia moja bogata; dostaniesz znaczny okup. „Toby było za długo," odpowiedział, „bądź tylko spokojny, żebym ci naraz głowę „mógł uciąć." Trzymałem go, mocno objąwszy. On się bynajmniéj nie bronił; bo bez wątpienia, ufał w swéj sile i broni; może też czuł litość, która jednakże nie mogła pokonać chciwości. Już mi odpinał szpinkę od koszuli, kiedy macając poczułem coś twardego w jego pasie. Był to młot żelazny. „Bądź tylko spokojny," powtarzał mi; i zapewne byłyby to ostatnie słowa, którém w mém zyciu słyszał, gdyby wstręt od tak haniebnéj, śmierci nie natchnął mi myśli wyrwania mu młota. Nie zważał on na to, a trzymając mię jedną ręką za głowę, drugą wydobywał swój kordelas. Silnym zamachem wyrwawszy się z rąk wroga, i nie tracąc momentu, uderzyłem go ciężkim młotem w twarz, ze wszystkich sił. Ugodziłem dobrze, potoczył się Arnaut, a za powtórzonym ciosem padł, i opuścił swój kordelas, który porwawszy, utopiłem mu go w piersi. Biegłem potém do naszych forpocztów, których broń błyszczała od słońca. W obozie każdy uciekał odemnie jak od upiora. Tegoż samego dnia napadła mnie gorączka; zaniesiony zostałem do lazaretu. Wyzdrowiawszy po sześciu tygodniach, powróciłem do obozu. Zaraz za mojém przybyciem przyniosła cyganka przegrany Tokaj. Od towarzyszów dowiedziałem się, że kilka jéj przepowiedzeń zupełnie się ziściło. Po niejakim czasie przeszło z wojska Tureckiego do nas dwu chrześcian Serbskich, którzy służąc u Turków w obozie, dla uniknienia kary zasłużonéj, zbiegli. Ci, skoro tylko zoczyli naszą wróżkę, oświadczyli, że ona często do obozu tureckiego przychodziła, donosząc o naszych poruszeniach. Mocno to nas zastanowiło, i niechcieliśmy z razu temu wierzyć; bo ta kobieta często nam samym się przysłużyła, i z dziwną zręcznością nie jedno zlecenie nasze bardzo niebezpieczne wykonała. Lecz zbiegi obstawali przy swojém zeznaniu, dodając, że kilka razy sami byli przytomni, jak ta kobieta opisywała Turkom nasze stanowiska, jak im donosiła o naszych układach, i zachęcała do zrobienia napadów, które się też istotnie udały. Bilet z cyfrą turecką, według ich świadectwa, służył jéj za paszport. Przetrząśniono ją i znaleziono ów bilet. Skazana więc była na śmierć, prawem wojennėm na szpiegów postanowioną. Wkrótce przed straceniem, pytałem się jéj, jakich używała sposobów dla sprawdzenia swoich wróżb, tak względem mnie, jak względem innych. Wyznała, że przez szpiegowanie obu stron, korzyść podwójną ciągnąc, dowiedziała się często o przedsięwzięciach jednéj i drugiéj strony; że łatwowierni, słysząc jéj wyrocznie, często się wygadali. Czasem także ślepy przypadek usłużył jéj sztuce. Ze mnie zaś umyśliła wystawić przykład dla utwierdzenia prorockiéj swéj powagi; dla tego też długo przed czasem los mój zwiastowała. Za nadéjściem zaś terminu, namówiła

nieprzyjaciela do zrobienia wycieczki na placówkę naszego regimentu, w nocy 20go Sierpnia. Od oficerów, z którymi miała kunszachty, dowiedziała się o dwóch moich poprzednikach, mających z kolei dowodzić placówką. Z tych jednemu przedała wino sfałszowane, od którego zachorował; do drugiego zaś, kiedy odjeżdżał, przybliżywszy się i udając, jakoby mu chciała co przedać, znalazła sposobność do włożenia żagwi zapalonéj w nozdrze koniowi. Tym podstępem spodziewała się, że, dowodząc placówką, ulegnę losowi przez nią przepowiedzianemu.

Andrzéj Chryzostom Załuski, Biskup Warmiński.

Żadna rodzina polska nieprzyłożyła się bardziéj do podźwignienia upadłych w Polsce nauk, nad familią Załuskich. Z tego względu, opisaliśmy już w Przyjacielu Ludu kilku członków téj zasłużonéj w kraju rodziny. Liczny ich szereg zaczyna Andrzéj Chryzostom Załuski. Urodził się w środku 17. wieku z ojca Alexandra Załuskiego, wojewody Rawskiego, z matki Olszewskiéj, siostry rodzonéj sławnego Andrzeja Olszewskiego, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego. Odebrawszy pierwsze początki nauk w ojczyznie, wysłany został dla wydoskonalenia się w nich [1667 roku] do Wiednia. W stolicy téj Niemiec, nie bardzo w ówczas nauki kwitły; uczuł to wnet młody Załuski, opuścił czemprędzéj Wiedeń, i udał się do Graetz w Styryi, gdzie prócz innych przedmiotów, poświęcił się szczególniéj nauce obojga prawa i języków: wkrótce atoli wezwanym został od familii, aby natychmiast do Polski powracał. Powodem tak nagłego do kraju powrotu, był zapewne nadchodzący sejm, na którym nieszczęśliwy Jan Kazimierz zrzekł się korony. Familia Załuskiego chciała zapewne, aby nasz Andrzéj był świadkiem tego smutnego i w dziejach narodów niesłychanego widowiska. Cóżkolwiek bądź, Załuski powrócił do kraju, i znajdował się na sejmie abdykacyjnym. Wkrótce potém [1669] puścił się w podróż po krajach europejskich; zwiedził Niemcy, Niderlandy, Francyą i Włochy. W Rzymie zabawił długi czas, i dopiero wkrótce przed śmiercią króla Michała do ojczyzny powrócił. Według życzenia swego wuja, poświęcił się stanowi duchownemu, i użyty został natychmiast do ważnego interesu. Wyprawiono go w poselstwie do Hiszpanii i Lizbony. Celem tego poselstwa było wyjednanie u dworów madrytskiego i lizbońskiego wsparcia pieniężnego na wojnę przeciw Turkom; przytém miał Załuski oddać w Madrycie przysłany niegdyś królowi Michałowi order złotego runa. Załuski puścił się w drogę na Niemcy i Francyą, i przybył do Madrytu, właśnie w chwilę, gdy król z całym dworem czas na rozrywkach w Aranjuez przepędzał. Poseł polski niechcąc czekać kilka miesięcy na powrót króla do Madrytu, udał się do Lizbony, gdzie stanąwszy, oznajmił o swojém przybyciu Sekretarzowi Państwa, i prosił o audyencyą u dworu. Sekretarz żądał od niego listów wierzytelnych, i przy téj okoliczności okazał najgrubszą niewiadomość, zapytując posła: czy Polska jest miastem, czy krajem? Uzyskawszy u dworu posłuchanie, oświadczył Załuski Don Pedrowi, Regentowi Portugalii; że, za życia króla Michała Polska wplątaną była w ciężką wojnę z Turkami; że, chociaż potęga ich klęską pod Chocimem wstrząśnioną nieco została, to przecież posiadają oni jeszcze dosyć sił do pomszczenia się téj hańby na Polakach; że Polska nie będąc w stanie oprzeć się Turkom, widzi się być zniewolną prosić o pomoc Mocarstw chrześciańskich; że, ponieważ Portugalia zawsze się losem chrześciaństwa szczerze opiekowała, zależeć jéj musi na tém wiele, aby to przedmurze przeciw Ottomanom nie runęło; że ma nadzieję, iż z tych i tym podobnych pobudek Rząd portugalski nie odmówi Polsce zasiłków pieniężnych przeciw nieprzyjacielowi krzyża świętego. Istotnie, poseł polski miał wielką nadzieję, że dwór portugalski przeznaczy dla Polski znaczną summę, zwłaszcza, że w tym samym czasie jeden z wyższych urzędników portugalskich, umierając, oddał do wolnéj dyspozycyi regenta przeszło 80000 talarów. Summa ta, po wielu zachodach z strony posła, miała mu być już wydaną, gdy intrygi Nuncyusza papieskiego, wytrąciły mu ją prawie z ręki. Nie uzbierawszy zatém nic, pożegnał Załuski dwór lizboński i udał się do Madrytu. Ledwie na granicy hiszpańskiéj stanął, ostrzegł go w liście Nuncyusz papieski Marescotti, aby podróż swoję do Madrytu ile możności przedłużał, ponieważ tak dwór, jakotéż całe miasto, oburzone było przeciw Polakom, iż na sejmie elekcyjnym xięcia Lotaryńskiego pominęli. Załuski usłuchał rady Nuncyusza i przybył do Madrytu w porze, w któréj burza ucisząć się już zaczęła. Karól II. był natenczas małoletnim, i w imieniu jego rządziła matka, u któréj Załuski zyskał posłuchanie; złożył order złotego runa, i prosił o zasiłki pieniężne dla Polski. Kroki atoli jego w téj mierze były nadaremne. Skarb hiszpański wycieńczony, nie miał nawet sam na potrzeby krajowe dostatecznych dochodów. Załuski bawił jeszcze w Madrycie, gdy od wuja swego w imieniu Jana III. wezwany został, aby się natychmiast do Paryża udał. Pożegnawszy się zatém z królową hiszpańską i z młodym królem, który go różą dyamentową obdarzył, udał się przez Bajonę do stolicy Francyi. Drugiego dnia po przybyciu swojém do Paryża, uzyskał posłuchanie u króla francuzkiego, któremu o wstąpieniu na tron Jana III. doniósł. Po trzechniedzielnym pobycie w Francyi, powrócił na Calais, Hamburg i Gdańsk do ojczyzny. Olszewski, wuj jego, który już Prymasem Pań-



Andrzéj Chryzostom Załuski, Biskup Warmiński.

stwa był, wyświęcił go na dyakona, a wkrótce potém i na kapłana, i mianował go swoim kanclerzem. Poczém Załuski udał się niezwłocznie do Torunia, gdzie owdowiałéj królowéj Eleonorze wręczył skrzyneczkę z klejnotami, oddaną mu dla niéj w Madrycie. Sprawiwszy ten interes, pojechał, z polecenia wuja, do Jaworowa, gdzie Jan III. natenczas przebywał, aby się dać poznać na dworze królewskim. Ledwie się na dworze pokazał, użytym był natychmiast do rozmaitych posług publicznych, w nagrodę których został najpierw kanclerzem królowéj, potém opatem wąchockim, nareszcie biskupem kijowskim i czerniechowskim (1687). Dostąpiwszy téj godności, złożył urząd kanclerza królowéj i oddalił się od dworu, gdzie mu się ustawiczne intrygi sprzykrzyły. W kilka lat potém, obdarzył go król probostwem płockiém, a Bonawentura Madaliński, Biskup Kujawski, zrobił go swoim koadjutorem. Z tém wszystkiém, po śmierci Madalińskiego, minęła go katedra Kujawska, którą dostał Dąbski, a Załuski musiał przestać na Biskupstwie Płockiém, zawakowanem po posunięciu Dąbskiego na Kujawskie. Tu poświęcał się Załuski w zaciszu, z dala od dworskich intryg, naukom i obowiazkom duchownym. Po kilku latach wyrwał go z téj ustroni rozkaz Jana III., aby do Warszawy przybył, i z komisarzami kurfirszta bawarskiego, starającego się o rękę Teofili Sobieskiéj, córki Jana III., kontrakt przedślubny zawarł. Z polecenia tego uiścił się Załuski chlubnie, poczém odprowadzał infantkę jéj małżonkowi do Bruxelli. Ledwie Załuski z téj podróży powrócił, gdy Jan III. w Wilanowie dogorywał. Załuski znajdował się przy konającym królu, i pierwszy doniósł królowéj o śmierci jéj małżonka. Po śmierci Jana III. zabiegał o to bardzo, aby korona polska została w familii Sobieskich, i w tym celu usiłował pogodzić Jakóba Sobieskiego z matką. Starania atoli jego w téj mierze były nadaremne, bo zacięta Francuzka wolałaby kogokolwiek bądź widzieć na tronie polskim, byle nie własnego syna. Podczas bezkrólewia, wojsko koronne, nie odebrawszy zaległego żołdu, zawiązało konfederacyą, i niszczyło dobra królewskie i duchowne. Senat polecił Załuskiemu, aby się starał haniebny ten związek rozerwać. Załuski udał się do zkonfederowanego wojska we Lwowie, ale przybywszy tu z gołemi rękoma, nadaremnie usiłował dopiąć celu poselstwa swego. Tymczasem nastąpił sejm elekcyjny. Załuski imieniem województwa Płockiego polecał na tron dzieci Jana III., lecz spostrzegłszy, że Sobiescy nie wielu mieli stronników w narodzie, zalecił xięcia Kondeusza, którego też część szlachty sejmującéj, niezwłocznie królem wykrzyknęła. Utworzyły się tedy dwie partye, jedna Kondeusza, druga Elektora saskiego; na czele pierwszéj stał nasz Załuski, na czele drugiéj Dąbski, Biskup Kujawski, który Elektora saskiego królem ogłosił. Po sejmie elekcyjnym, udał się Załuski do Pułtuska, gdzie oczekiwał przybycia Kondeusza. Długo zwlaczał Kondeusz: przybył nareszcie do Gdańska, dokąd się Załuski niezwłocznie udał. Spostrzegłszy atoli, że Kondeusz przybył do Polski bez pieniędzy i wojska, gdy tymczasem współzawodnik jego wysłał znaczny oddział wojska do Polski, powrócił do Płocka i poddał się Fryderykowi Augustowi. Ten posunął go najpierw na Biskupstwo Warmińskie, a wkrótce potém, po śmierci Tarły, podkanclerzego, zrobił go wielkim kanclerzem koronnym. Załuski zawdzięczając Augustowi te dobrodziejstwa, starał się zjednać mu przychylność narodu w owéj wojnie szwedzkiéj na początku 18. wieku. Jak z dziejów wiadomo, usiłowania jego w téj mierze były nadaremne. Owszem sam wpadł u dworu w podejrzenie, że z Szwedami korespondował; został uwięziony i do Rzymu odesłany. Po uciszeniu się nieco burzy w Polsce, powrócił Załuski [1707] do kraju; zniewolony atoli został złożyć pieczęć wielką koronną. Temi przeciwnościami zniechęcony, zmierził sobie życie publiczne i postanowił odstąpić Biskupstwa; wtém zaskoczyła go śmierć dnia 1. Maja 1711 roku. Był to mąż uczony i niezmiernie pracowity. Zostawił następujące dzieła:

1.) Mowy na radach i sejmach. 2.) Epistolae historico familiares. Tomow 4. Dzieło bardzo ważne do historyi polskiéj, drugiéj połowy 17 wieku. — 3.) Zwierciadło przykładnego Pasterza, i t. d.

J. Ł.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)